

Od autora: Jest to pierwsze opowiadanie z cyklu zatytułowanym "Szczur"

Biegnę, biegnę, biegnę, aż do utraty tchu i wiem, że nie mogę się zatrzymać. Za wszelką cenę muszę biec. Zachłystuję się pędem, pełnymi haustami polykam przepływające powietrze poruszone moim pędem. Nie, nie stanę, choćby nie wiem co, muszę biec, aż do utraty tchu, ba nawet sił. Jak je stracę, oni mnie dopadną, ale wtedy będzie mi już wszystko jedno. A było to tak:

„ Jest poniedziałek rano, godzina koło siódmej, czy nawet nieco wcześniej. Jak zwykle idę wzdłuż ulicy, po pustym o tej porze chodniku licząc w myśli przesuwające się pod nogami płyty z szarego betonu. Po dwudziestej dochodzę do pierwszego kosza na śmieci, teraz należy podnieść nieco wzrok. Robię to i widzę przed sobą brzeg metalowego pojemnika z odpadkami. Nachyliwszy się grzebię w nim. Tu nie ma żadnej puszkki, a właśnie na nich mi zależy. Gdy jakąś znajdę, schowam do plastikowej reklamówki. Jak torba się napęlni, pójdę do skupu, by sprzedać nagromadzone w niej puszkowe aluminium. Mam nadzieję, iż dostanę tyle, że starczy na coś do jedzenia. Najlepsze jest płynne jadlo z procentami, ambrozja bezdomnego. Tak, jestem bezdomny, tak zwany menel, a poza tym jestem z tego dumny. Kiedyś przed laty to był mój świadomy wybór, odpowiada mi taki tryb życia i tyle w tym temacie. Opuściwszy wzrok znów liczę, ogarniam myślowym preludium szaro betonowe kwadraty pod podszwami zdartych butów i skrupulatnie przeliczam je dalej. Wiem, że po kolejnych dwudziestu trzech będzie następny śmietnik. O, już jest, teraz należy zanurzyć w nim rękę i poprzebierać w śmieciach. Tym razem trafiły się trzy puszkki, nawet nieźle, jak na początek. Zgniatam je butem w okrągławe płaskie coś przypominające wieczko od słoika i wrzucam do plastikowej reklamówki. Obejdę jeszcze kilkadziesiąt koszy, to pewnie uzbiera się cała torba, dostanę trochę grosza. Co prawda najpierw ukryty on będzie w zgniecionym aluminium, ale jak sprzedam zawartość plastiku w skupie, zostanie prawdziwą gotówką, można za nią coś kupić. Na razie skupiam się na liczeniu, grzebaniu i wyciąganiu alu, do żywej mamony jeszcze trochę czasu pozostało.

Skończyłem obrabiać kolejny śmietnik. Nazbierało się w sumie niewiele, jakieś dwadzieścia puszek i dwie z tego kosza, razem dwadzieścia dwie. Płyt chodnikowych naliczyłem już czterdzieści i cztery, czterdzieści cztery. Coś mi mówi ta liczba, jakby jakoś tak o dziadzie, a może dziadach, jakiś cień wspomnienia z dalekiej, minionej przeszłości. Dziwne skojarzenie. No nic, idę dalej, trzeba nazbierać więcej. Chciałem ruszyć, lecz wtedy go usłyszałem.

Zatrzymał się z piskiem opon tuż obok. Piskliwy dźwięk na chwilę mnie obudził, podniosłem głowę, ogarnąłem spojrzeniem stronę, z której pochodził. Ujrzałem stojące auto, jego drzwi się otworzyły, ktoś z nich wysiadł, stanął przede mną. Teraz blokował mi dalszą drogę. Patrzę na niego, jak zapraszającym ruchem ręki wskazuje wnętrze auta, chyba chce żebym tam wszedł. Tak, zdecydowanie tego pragnie. Cóż mogę zrobić? W sumie, co mi tam, wsuwam się do pojazdu. Zaraz za mną wchodzi doń on i zatrząskuje drzwiami. Oho, coś się kroi, skoro mnie tu chcą.

Miałem rację, samochód mknie wśród zapadającej nocy, wreszcie staje na podjeździe do jakiejś posesji. Ten obok mnie otwiera drzwiczki i wychodzi, gestem ręki każe mi uczynić to samo. Dobrze, a co mnie tam, chce, to wysiadę. Więc wysiadam stając na wyłożonej prostokątną kostką podłożu. Szare prostokąciki ciągną się równoległymi rzędami przylegającymi jeden do drugiego w stronę drzwi odgradzających garaż od świata zewnętrznego. On rusza, ja idę za nim tą szarawą drogą o tej porze nocnego

zmroku jasno oświetloną żółtawym światłem z dwóch rzędów latarni wyznaczających brzegi utwardzonej drogi, czy może dróżki. W pewnym momencie skręcamy w bok i obchodzimy posesję. Z tyłu są drzwi wejściowe prowadzące do wnętrza domostwa. Daje mi znak bym się zatrzymał, niech mu będzie stać i czekam, co dalej nastąpi.

Z domu wyszedł postawny mężczyzna w dobrze skrojonym, znaczy się szytym idealnie na jego miarę, stalowym garniturze i w czarnych lakierkach, też doskonale dopasowanymi do stóp. Nawet w lekko przyćmionym świetle rzucanym przez jedną z latarni lśniły połyskująco matowym blaskiem głębokiej czerni. Ten, który mnie tu przywiódł szepnął coś cicho do 'garniturowca'. Elegancik skinął potakująco głową, chłopak z auta podszedł do mnie.

- Posłuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia, bo nie będę powtarzać dwa razy. Kumasz?

Co miałem nie kumać? Kumałem, kazał mi słuchać, więc słucham.

- Zamieniam się w słuch. – Mruknąłem.

Spojrzał na mnie spode łba, jakbym powiedział coś karygodnego, czy wysoce niestosownego. Skuliłem się lekko oczekując, że zaraz zada mi jakiś cios, nic takiego jednak nie nastąpiło. Odetchnąłem z ulgą, choć to jest porządku, nie będą bić.

- Na początek zadam ci pytanie. Chciałbyś zarobić dużo hajcu?

- Znaczy się pieniędzy?

- Tak właśnie, hajcu. Chcesz zarobić?

- Ile?

- Tyle, że ustawisz się do końca życia. Nie będziesz musiał pracować.

- Przecież nie pracuję.

- No tak, ale nie będziesz biedował.

- O, to wielka kasa.

- Jaka kasa?

- Znaczy się hajc.

- A tak, bardzo duży hajc. Możesz być tak bogaty, że kasiory starczy ci do końca życia. Choćbyś nawet chciał, w życiu nie zdołasz całej jej wydać.

- Czyli naprawdę dużo, pewnie, że chcę. Co muszę zrobić?

- Właściwie to niewiele. Tylko przebiegniesz się z jednego miejsca do drugiego.

- Gdzieś tu musi tkwić jakiś haczyk, inaczej nie byłoby tyle kasiory.

- Ja wiem, czy to haczyk? Nazwałbym to raczej dreszczem adrenaliny.
- Więc, o co chodzi?
- W tym wszystkim biega o to, że będziesz brał udział w czymś, co nazwałem biegiem szczura.
- Czyli, że co?
- Spoko, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Zasady są proste. Są dwie strony; ty, szczur i my, polujący.
- Co, jak to polujący?

- Przebiegniesz pewną trasę, twoje zadanie będzie polegało na tym, by nie dać się zabić. My będziemy tą drugą stroną, czyli będziemy na ciebie polować. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego nazwano to bieg szczura? Bieg, to raczej wiadomo, będziesz zmuszony do biegu, uciekania, a szczura... No cóż, jak to mówi ten biznesmen, który tam stoi, tak, ten w gajerku, szczur biegnie tylko w dwóch sytuacjach; jak czuje się zagrożony i do jedzenia, gdy jest głodny. Ty skupisz się na pierwszej sytuacji, czyli będziesz czuł zagrożenie. Obiecuję ci, że będzie ono jak najbardziej realne. Chodźmy do samochodu, zawiozę cię na miejsce rozpoczęcia wyścigu ze śmiercią.

- Zaraz, ja nie chcę.

Cofnąłem się kilka kroków. Facet podbiegł szybko i chwycił mnie za kołnierz przybrudzonej kurtki.

- Zgodziłeś się, teraz już za późno na wycofanie się. Jak uda ci się dotrzeć do celu, otrzymasz naprawdę ogromny szmalec, czyli hajc. Idziemy.

Silnie ścisnął mój kołnierz i szarpnięciem zmusił do podążenia za nim. Gdy dotarliśmy do samochodu, otworzył bagażnik i na siłę wepchnął mnie do niego.

Kłapa bagażnika zatrzasnęła się nade mną, po chwili usłyszałem warczenie silnika i ruszyliśmy. Leżąc w dość niewygodnej pozycji, pogrążony w całkowitej ciemności wyczuwałem jak pojazd się porusza, na każdym zakręcie rzucało mnie na któryś bok wnętrza bagażnika, jazda stanowczo nie była komfortowa. Nie wiem ile tak jechałem, ale w reszcie auto stanęło, wyłączono silnik. Po pewnym czasie bagażnik został otwarty. Zobaczyłem pochylającą się nade mną sylwetkę tego faceta. Mocnym szarpnięciem wytrząsnął mnie z wnętrza i postawił na nogi.

Staliśmy przed wysokim ceglany murem. Wskazał ręką na otwór w nim.

- Włazisz tam i biegniesz prosto przed siebie, następnie pokonujesz miasto i docierasz do końca trasy. To chyba proste zadanie?

Skinąłem potakująco głową.

- Od tej chwili jesteś jak zwierzyzna łowna, ścigany szczur, przekraczasz mur, a my cię ścigamy z bronią w rękę. Strzelamy ostrą amunicją, nie dbamy o twoje życie, ty robisz wszystko, by przeżyć i dotrzeć do mety. Jak zdołasz to zrobić dostajesz hajc. No, biegnij już!

Pobiegłem do muru i przekroczyłem dziurę w nim. Rozglądałem się dokoła. Przebywałem na jakimś

zapomnianym miejskim cmentarzu, wiele nagrobków pochyliło się ku ziemi ze starości, niektóre na niej leżały, groby pokrywała warstwa ziemi i dawno niesprzątanых liści. Ledwo miałem czas pobieżnie na to spojrzeć, bowiem usłyszałem odgłos strzałów. Po chwili kule uderzyły o kant dziury, jakaś z charakterystycznym świstem przeleciała mi koło ucha. Jednocześnie usłyszałem odgłos przyśpieszonych kroków zbliżających się do otworu, nadbiegali ci, co strzelali. Przestraszony zerwałem się i zacząłem biec pomiędzy nagrobkami. Po chwili w otworze zamajaczyła jakaś postać i poleciały za mną kolejne strzały. W ostatniej chwili zdołałem schować się za którymś nagrobkiem, lecz coraz gęstsza strzelanina zmusiła mnie do opuszczenia tego niepewnego schronienia i dalszego szaleńczego biegu.

Zbliżam się coraz bardziej do muru kończącego cmentarz. Co teraz będzie, co mam robić? W pewnej odległości słyszę kolejne strzały, zbliżają się. Wiem to, czuję, muszę jak najszybciej coś wymyśleć. W panice błędzę rozbieranym wzrokiem po powierzchni muru, kręcąc głową spoglądam na boki, wreszcie widzę to. Po lewej stronie jest żelazna furka, muszę do niej dobiec. Wyteżam wszystkie siły, w szaleńczym tempie dopadam ją i targam za metalową klamkę. Na szczęście nie jest zamknięta, po drugim szarpnięciu klamka uchyla się w dół a bramka otwiera na zewnątrz, teraz mogę opuścić cmentarz.

Wbiegam na czarny asfalt pustej ulicy, moje kroki odbijają się głuchym, tętniącym echem w pustej czarnej przestrzeni. Spojrzawszy w górę dostrzegam świecący półksiężyc i gwiazdy, mnóstwo małych punkcików na czarnym tle błyszczą punktowymi światełkami. W innych okolicznościach pewnie stwierdziłbym, iż wygląda to wręcz przepięknie, lecz teraz nie mam czasu na podziwianie krajobrazu. Szybko przemieszczam się w pustce przestrzeni słysząc za sobą postukujące o asfalt kroki prześladowców z bronią. Muszę coś zrobić, nie dać się złapać, na razie pozostaje mi jedynie ten szaleńczy pęd. Czuję zmęczenie, mam nadzieję, że i oni się zmachają, padną i będę miał spokój, ale chyba nie nastąpi to tak szybko, prędkie stąpanie cały czas słyszę za sobą.

Oddycham ciężko, teraz biegnę skrajem oświetlonego blaskiem ulicznych latarni chodnika. Dotarłem już do pierwszych zabudowań miejskich, stanowią je niskie domki z ogródkiem otoczonym płotem. Skręcam pomiędzy nie i lawiruję między płotami. Z tyłu kroki na chwilę ucichają, widocznie muszą zastanawiać się, gdzie jestem, udało więc mi się zniknąć im choć na chwilę sprzed oczu. Kluczę dalej i biegnę, cały czas biegnę, byle jak najdalej od nich.

Domki wkrótce się kończą, dobiegam do poprzecznej ulicy, muszę przebiec na drugą stronę. W biegu wkraczam na czarny szeroki pas asfaltu i znowu się zaczyna. Seria z karabinu odbija się rykoszetem tuż za mną. Przerazenie stymuluje mnie do zebrania sił i pędzkiej ucieczki. W dźwięku kul obijających się o wszystko, co się da i świszczących w powietrzu dopadam niskiej metalowej barierki oddzielającej ulicę od pasma zieleni porastającego niską, niezbyt stromą skarpe. Przeskakuję ogrodzenie i wbiegam na nią. Teraz biegnę zygzakiem, w ten sposób jestem trudniejszym do namierzenia celem, przynajmniej tak mi się wydaje. Broń co chwilę terkocze wypływając z siebie lecące w zastygłym w bezruchu powietrzu śmiercionośne pociski. Odpukać, ale na szczęście jeszcze żaden mnie nie trafił. W tej sytuacji marne to pocieszenie, lepsze takie niż żadne.

Wreszcie wpadam pomiędzy bloki, to już prawdziwe miasto. Muszę biec oświetlonym od góry chodnikiem, na szczęście wzdłuż jego skraju zaparkowano samochody. Kryjąc się pomiędzy nimi biegnę próbując być jak najmniej widocznym dla niechybnie nadciągających prześladowców. Na razie ich nie słyszę za sobą, lecz wiem, że tam są, niestety na pewno nie zgubili mego tropu, w ściganiu są za dobrzy. A ja pędzę dalej.

Znowu strzały, musieli mnie wypatrzeć pomiędzy pojazdami, kule odbijają się od karoserii coraz bliżej

mnie. Zmuszam się do szybszego pędu, jednocześnie kryjąc się za autami. Stanowią jakąś tam ochronę. Słyszę dźwięk tłuczonej szyby samochodu, to seria trafiła w nią. Szkło musiało rozsypać się w drobny mak, słychać jak z charakterystycznym brzękiem drobne kawałki spadły na chodnik. Skulony, zakrywając głowę rękami biegnę dalej, ze zmęczenia coraz ciężiej oddycham, ale nie mogę ustać, jak to zrobię wiem, że będzie już po mnie, dopadną mnie, to byłby koniec. Wysilam kończyny coraz bardziej, zmuszając je do jak najszybszego poruszania, oddycham coraz szybciej dostarczając organizmowi niezbędnej porcji tlenu. Oddech już do końca nie nadąża za jego potrzebami, czuję, że się duszę. Nie, nie poddam się, biegnę dalej.

Skręcam w jakąś boczną węższą uliczkę, teraz biegnę nią słysząc za sobą szybkie kroki pogoni. Uciekam, zaraz zaczną strzelać. Podświadomie czekam na ten moment potęgując w sobie uczucie przerażenia. Coś długo to nie następuje, może dali sobie spokój? Nie, przecież słyszę ich za sobą. Po chwili ponownie rozlegają się strzały, muszę zniknąć z ich pola widzenia. Widzę oddzielony trawnikiem skraj bloku, robiąc gwałtowny manewr przebiegam przezeń i kryję za boczną ścianą. Nie przystaję, pędzę dalej.

Wpadłem na szeroką ośmiopasmówkę, nie mam wyjścia, muszę nią biec. Robię to manewrując między przejeżdżającymi autami, usilnie uważając, by pod żadne nie wpaść. Na szczęście o tej porze nocnej części doby nie jeździ ich tu za dużo, jednak czasami coś przejedzie. Przemieszczam się jej środkiem, tu będzie najbezpieczniej, ścigający mnie nie dosięgną.

A jednak się myliłem. Z tyłu słyszę nadjeżdżające auto, po chwili jaskrawo oświetlają mnie jego światła. Samochód podjeżdża coraz bliżej i trąbi. Staram się przyśpieszyć, pojazd jest tuż za mną. Nagle z jego wnętrza rozbrzmiewają strzały. Uskakuję przed nimi w ostatniej chwili, tam, gdzie przed chwilą stałem powierzchnia asfaltu wykrusza się od pocisków, rykoszety lecą na boki, jeden przelatuje tuż przy mej prawej nodze. Skręcam i biegnę skrajem lewego pasa drogi, dalszy odskok w bok uniemożliwia mi ustawiony wzdłuż trasy wysoki ekran przeciwdźwiękowy, muszę więc przemieszczać się wzdłuż niego. Auto ze strzelcami mija mnie w pewnej odległości, pada z niego seria strzałów robiąc okrągławe dziury w paśmie ekranów niedaleko z przodu. W ostatniej chwili instynktownie uchylam się przed nadlatującą zbłąkaną kulą, która poleciała gdzieś w bok. W pewnym momencie widzę powracający samochód, gdy podjeżdża bliżej rozpoznaję go. To ten sam, z którego przed chwilą padły strzały. Gdy przejeżdża obok, padam płasko na ziemię, seria przechodzi nade mną. Zaraz potem podnoszę się i biegnę, goni mnie stukot pocisków odbitych od asfaltu. Muszę uciekać, jak najdalej stąd.

Wreszcie udało się zejść z tej przeklętej drogi, natrafiłem na boczną węższą odnogę. W miejscu, gdzie wymalowaną zebra zaznaczono przejście dla pieszych ciąg ekranów został przerwany, kolejny widnieje kawałek dalej. Tu wbiegam na chodnik i pędzę nim. Po lewej mam osłonę przeciwdźwiękową, z prawej wąski pas porośnięty trawą, a za nim osiedle. Biegnę prosto przed siebie tak, jak prowadzi mnie chodnik. Na ulicy z piskiem opon zatrzymuje się samochód, po chwili plastik ekranu znaczą na pewnej wysokości rozbryzgi od przebijających go strzałów. Skulony biegnę tak szybko, na ile pozwalają mi siły ponaglone strachem.

Jest, boczna droga dojazdowa na osiedle, wbiegam w nią i znowu pędzę w szalonym tempie przed siebie. Ta trasa jest nieco słabiej oświetlona, dzielnica, którą się przemieszczam wygląda biednie. Dawno nieremontowane bloki z odłazającym tynkiem, mijam też obskurne klatki schodowe. Wszędzie dookoła pusto, ani żywej duszy, poza mną i tymi ścigającymi mnie. Słyszę ich wyraźnie, niestety nie zgubili mego tropu. Jestem już zmęczony, tak straszliwie umęczony, prawie padnięty, jedynie adrenalina wywołana przeogromnym strachem o własne życie stymuluje moje nogi do dalszego biegu, mózg im to nakazuje. Od-

dech coraz cięższy, świszczący, oddycham szybko, małymi haustami połykając życiodajne powietrze. A oni wciąż tam są, biegną za mną i nie ustają w pogoni. Nie potrafię się od nich uwolnić, ale będę próbował, do końca, straszliwego końca, jaki zgotowało mi przeznaczenie.

Ucieczka dalej trwa, już ledwo biegnę, ale wiem, że muszę, więc poruszam dolnymi kończynami wciąż starając się, by nie straciły przyśpieszonego tempa. Byle dalej, byle szybciej, szybciej i szybciej. Straszliwy maraton stymulowany zabójczą pogonią wciąż trwa. Nie wiem ile jeszcze wytrzymam, oby jak najdłużej, staram się jak mogę, wyteżam wszystkie siły.

‘Ding!’- skroń mi pulsuje, czuję to coraz wyraźniej, zaraz nastąpi kolejne. O, teraz - ‘ding!’ - puls bije coraz mocniej - ‘ding!’ ‘ding!’ - pulsowanie ciągle zwiększa swą częstotliwość, niedługo nastąpi cała seria - ‘ding!’ ‘ding!’ ‘ding!’ ‘ding!’ ‘ding!’ ‘ding!’ . Ostatkiem sił wybiegam poza granice miasta, to musi być meta, padam. Ciemność...

Budzi mnie ogromne rwanie w nodze, o znowu się powtórzyło, aż zawylem z bólu. Wyraźnie ktoś mnie kopie w łydkę i to wcale nie lekko. Otwieram oczy, spoglądam w górę. Nad sobą widzę dłoń trzymającą prostokątną czarną teczkę, palce powoli się rozwierają, przedmiot zostaje upuszczony. Teczka pada na moją klatkę piersiową, czuję jej ciężar. Wygrałem, dotarłem do mety w jednym kawalku, a to pewnie nagroda. ”

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

swistakos, dodano 30.11.2015 04:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.